Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 34.** **Leszno, dnia 24. Lutego 1838.**



Alexandryna Wiktorya I.

Królowa Wielkiéj-Brytanii, urodzona 24. Maja 1819 r., córka xięcia Kent, czwartego syna Jerzego III., króla angielskiego, wstąpiła na tron po swym stryju, królu Wilhelmie IV., dnia 20. Czerwca 1837. Kończy więc dopiero rok dziewiętnasty życia swego, i jest bez wątpienia najlepszą partyą w Europie, a może i na całym świecie. Ciekawa rzecz, komu też odda swą rękę, a w posagu tron potężnego narodu przyniesie.

Przypadek czterech Polaków w Szwajcaryi.

Ile zaniedbanie ostrożności policyjnych i nieznajomość języka krajowego, sprowadzić mogą przykrości, następujące wyświeci zdarzenie:

Roku 1809 czterech Polaków, Józef i Ignacy S.. scy, Marcin K. i Adam P., podróżując w Szwajcaryi niemieckiéj, i przybywszy do górzystéj bardzo okolicy w kantonie, jeśli się nie mylę Apenzel, odesłali większą drogą kufry swoje i grubsze sprzęty, a sami pieszo, z małemi tłu-

maczkami na plecach, i z wiodącym ich przewodnikiem, bezdrożne, ale tem ciekawsze dla nich przebywali strony. Przy gasnącym już świetle dziennym, zaszli na nocleg do lichego bardzo miasteczka, jakie się zazwyczaj wśród wysokich gór znachodzą. Tam ich opuścił przewodnik, a wywiedziawszy się jedynéj w tem mieście oberży, zachodzą do niéj podróżni. — Przyjmuje ich gospodarz z miną nieco przestraszoną, i rozpowiada o częstych rozbojach, którym cała okolica od niejakiego czasu podlega, i które nawet same miasto w ciągłéj utrzymują niespokojności. Zaczynają Polacy mówić między sobą własnym językiem, co oberżystę mocno uderzać się zdaje. Wkrótce, nie pytając o paszporta, życzy dobréj nocy i wychodzi. We wskazanym od niego pokoju, podróżni natychmiast do spoczynku się zabierają. Przejęci jednak powieścią gospodarza, kładą się nierozebrani, i każden jaką taką broń, co z sobą przyniósł, jako to: pistolety, kordelasy, puginały, koło siebie zachowuje.

Nie byli jeszcze wszyscy posnęli, gdy otwierają się z cicha drzwi pokoju, i dwóch ludzi z latarnią, zbrojnych w pistolety, wkrada się do izby. Zrywają się z posłania podróżni, i z bronią w ręku wychodzą na ich spotkanie. Tamci przelęknieni, rzucają broń i latarnią, i co tchu uciekają. — Równie przestraszeni Polacy, nie wiedzą już, co mają myśleć. Czy nie są oni w samém mieszkaniu rozbójników? Czy sam gospodarz nie jest ich wspólnikiem, albo nawet przywódzcą. Wszystko to jakiegoś podobieństwa nabiera w ich imaginacyi. Otwierają okna, a postrzegając na ulicy zbiegających się różnego gatunku ludzi, ile snadno im było w niemieckim języku przemówić, proszą nadchodzących, aby raczyli przyjść im w pomoc przeciw zbrojnym rozbójnikom. Odpowiadają im z pogróżkami: Przyjdziemy, przyjdziemy, ale wiemy, kto rozbójnik i kogo wiązać potrzeba. Zdumieni tą odpowiedzią podróżni, gorsze już przewidują niebezpieczeństwo. Może całe miasto jest stekiem złodziei? Może nie ma w niém żadnéj opiekuńczéj policyi? Gdy już do drzwi ich szturmują, przypierają do nich Polacy co tylko mają w izbie, jako to: szafy, stoły, stołki i t. d. i do uporczywéj się walki gotują. Zaczynają zatém odbijać drzwi, wypierają je, mimo natężonych usiłowań podróżnych. Pękają nakoniec zamki i zawiasy, wypadają drzwi na wpół przełamane, wywracają się meble, i wpada do izby wielki tłum ludzi z kijami, motykami, siekierami i sztabami żelaznemi. Cofający się podróżni, chcą wniść w układ, i oddają pieniądze, zegarki, pieczątki, i co tylko mają przy sobie. Niechce lud ich przyjąć, ale krzyczą ze wszystkich stron, aby broń złożyli. — Gdy zaś w całéj téj wrzawie niepodobną było się zrozumieć, wznawia się bój. Walczą wściekle Polacy, ale wkrótce osłabieni na siłach i ranami okryci, ulegają przemocy. Wydzierają im broń, wiążą ich powrozami, rozbierają prawie do naga, i do rozmaitych więzień pojedyńczo odprowadzają. Wszyscy byli krwią zalani, a jeden nawet ciężką ranę na twarzy odniósł. W tym opłakanym stanie, bez opatrzenia, przykuci do muru lub do słupów żelaznych, całą noc tęsknie przetrwać musieli. Na dopełnienie okropnych wrażeń, które ponosili, słychać było téj nocy jakieś strzelanie. Było to, jak się późniéj dowiedzieli, nocne polowanie na głuszce w pobliższym lesie, ale zdawało się naszym podróżnym, jakoby jednego po drugim na stracenie prowadzili. Gdy już dnieć zaczęło, obrzuciwszy więźniów jakąkolwiek odzieżą, poprowadzono ich, (ale zawsze po jednemu) przed zebranych już urzędników policyjnych, i zaczęto ich badanie. Odbyło się ono, dla łatwiejszego zrozumienia się, w języku francuzkim, i porównywano ich odpowiedzi ze znalezionemi przy nich paszportami. Dopiero odetchnęli nasi podróżni, widząc już się w ręku jakiejkolwiek zwierzchności, a nie rozjuszonego bezrządnego tłumu. — W miarę, jak się ich niewinność wyświecała, zwiększały się pomieszanie i żal badających urzędników i przytomnych obywateli miasta. Gdy się już wszystkie cztery indagacye skończyły, uwolniono Polaków z pod straży, wrócono im zabrane rzeczy, i zewsząd przepraszano za niesłychane uwiedzenie, którego jedynie gospodarz domu był przyczyną.

Gdyby bowiem mniéj trwożliwy, a więcéj rozsądny, był się na samym wstępie o paszporta zapytał, byłby z nich poznał, że podróżni byli cudzoziemcy, że ich nieznajoma mowa, którą za dyalekt rozbójniczy poczytał, była po prostu polskim językiem. Zamiast szczerego i otwartego postępowania, któreby wszystko wyświeciło, wkrada się on do śpiących z drugim domownikiem i pistoletami w ręku, a to w celu (jak późniéj wyrzekł) odebrania im broni, którą przy nich postrzegł, i która mu się podejrzaną wydawała. Tego nawet napadnienia nie umiał wykonać, i na widok powstających podróżnych, uciekł ze strachu. Odtąd już nie wątpiąc, że oni przybylce byli istotnemi łotrami, przebiegł całe miasto, i pobudził mieszkańców do walki przeciw już usadowionym u niego rozbójnikom. Ztąd wynikło całe nieporozumienie. Powiększyła je bardziéj jeszcze niedostateczna znajomość języka niemieckiego ze strony podróżnych, krzykliwa wrzawa ludu, nie dozwalająca żadnych tłumaczeń, wreszcie niedołężność urządzeń policyjnych w tym odludnym zakątku Szwajcaryi.

Na dowód zaś poczciwości tego miasta mieszkańców, to przytoczyć wypada, że wśród tak gwałtownego rozruchu, nic podróżnym z rzeczy ich lub pieniędzy nie zginęło; wszystko im powrócono w całości. Oberżysta tylko szkodę poniósł w połamanych drzwiach i meblach, na co mocno utyskiwał. Cierpiący stan podróżnych żywo dotknął obywateli miasta, i zewsząd

przybiegano z ofiarowaniem pomocy lekarskiéj. Co chwila przybywały różne deputacye, z wyrażeniem ciężkiego żalu mieszczan, po żałosnych ostatniéj nocy wypadkach. Wkrótce zjechał i najwyższy rządca, to jest Landaman kantonu. Oddał natychmiast wizytę podróżnym i wznowił te same oświadczenia publicznego żalu. Z tem wszystkiem jednak, w mniemaniu, że podróżujący w dalekich stronach majętniejsi być muszą od prostego oberżysty, nalegał Landaman, aby panowie polscy raczyli nadgrodzić gospodarzowi poniesione przez niego szkody. Jakkolwiek niesłusznem było, aby skrzywdzeni na własnéj osobie, mieli jeszcze płacić istotnemu i jedynemu winowajcy, musieli podróżni i na to przystać.

Miasteczko, w którem się to stało, nie dość przedstawiało sposobności do dokładnéj rannych Polaków kuracyi. Skoro więc jakkolwiek czuli się w stanie w dalszą puścić się drogę, udali się do Konstancyi na granicy niemieckiéj, i tam niejaki czas bawiąc, szczęśliwie wyliczonemi zostali.

Gdy każdy przypadek mniéj więcéj owoc swój nosi, i na ludzkie wpływa czyny, dzisiaj podług wszelkiego podobieństwa w téj odludnéj nawet części Szwajcaryi, lepsze już być muszą urządzenia policyjne. Ci zaś podróżujący, co o tém zdarzeniu usłyszą, mniéj już może utyskiwać będą na nudzące częstokroć i na pozór niepotrzebne wykazywanie paszportów, gdyż tym sposobem nie jedno złe uchyloném zostaje.

S. P...r.

Wyjątki z korrespondencyi literackiéj.

(Ciąg dalszy.)

Kochany . . . . . .! Przyszła mi myśl pisać do Ciebie; zgadniéj o czém? oto o modzie. Uśmiechniesz się z razu, że mając do rozwagi tyle ważniejszych przedmiotów, czepiam się tak błachego; zważając przecież na jéj potęgę i wpływ na tyle rzeczy w świecie, uznasz ją może za godną zastanowienia się naszego. Z wszystkich pytań nasuwa się jako najpierwsze, zkąd się wzięła? Mnie się zdaje, że takby to wytłumaczyć można. Natura ciągle jest działająca, lecz niezmienną, człowiek działający, lecz i zmieniający, i jeśli jest w nim coś niezmiennego, to jedynie ta dążność do ciągłego doskonalenia, którą przez wszystkie widzimy czasy. Któż wie, czyli i mody policzyć nie możemy do téj dążności. Wszakże człowiek chce nią wykształcać swoję zewnętrzność, siebie i twory swoje, w urocześniejszą przyjemności przybrać barwę, wszelkie dla oka wydoskonalać formy. Źródło więc jéj w naszéj naturze biorąc początek, nie dziw, że jest tak wielo i szeroko-władną, nie dziw, że młodość, a zwłaszcza płeć niewieścia, z ruchomszą jeszcze wyobraźnią i czynniejszém wewnątrz życiem, tyle w niéj wdzięku widzi; nie dziw wreście, że moda z Francyi, teraz i Anglii rozlewa się na resztę świata, bo właśnie w tych krajach, większa jak gdziekolwiek jest działalność i chęć doskonalenia. Warto i to uwagi, że im ludy bliższe dzikości, tém oporniéj obstawają przy dawnych formach, barwach i szatach. Moda rozbiera powoli wszystkie ludy europejskie z ich szat narodowych. Gdyby była przestała na ciągłém wykształcaniu udzielnego ubioru każdego narodu, każdy lud byłby miał wyrazistszą postać swojéj zewnętrznéj indywidualności; ale nieszczęściem nie tak się stało. Smutno pomyśleć, że właśnie cywilizowańsze klassy, tak złego kierunku mody wyłączną stały się przyczyną. Aby w każdym narodzie dawny naród wyszukać, trzeba aż do prostego ludu zstąpić, i dla tego téż grubsze tylko barwy i rysy przeszłości chwytamy, rzadko co z dawnego koloru. Lud wiéjski, tak wiernie trzymający się dawnych szat narodowych i zwyczajów, zdaje mi się tym pniem kilkowiekowym, w który my coraz cudzoziemskie cytryny, granaty, daktyle wszczepiamy, i który tylko w swoim korzeniu jest jeszcze prawym synem téj ziemi, z któréj wyrosł. U nas moda tak szkodliwa była, że prawie niepodobna jest oznaczyć ubioru narodowego. Ponieważ złe zdaje się niecofnioném, ponieważ trudno się spodziewać, aby wyższe klassy rzuciły drogę naśladowania w téj mierze Francuzów i Anglików; pozostaje więc tylko zwracać tę dążność na drogę gustu prawdziwego, to jest ubiór do godności pięknéj sztuki podnieść, a téj sztuce nie dać się cofać, zniżać. Sztuka ubierania się, więcéj ma daleko trudności, niż wielu mniema. Stokroć, patrząc na niejedne czupigrały najmodniéj wysztafirowane, przypominały mi się owe wiersze:

Ileż to na ich ubiór sklepów się składało,
Tyle miały towarów, a gustu tak mało!

Najzgubniejszém w tym względzie stało się owo płci niewieściéj przysłowie: „przy piękności wszystko piękne” i zląd też żadna niemając się za zupełnie brzydką, do wszystkich mód, barw i form rości sobie prawo. Ale jakże się ubierać? zapyta mnie niejedna. Odpowiem jéj więc, że tyle przynajmniej uwagi zwracać trzeba na ubiór żyjącej osoby, oddychającéj jeszcze piękności, jak malarz na szaty kreślonych na płótnie istot. W każdym przedmiocie uważać naprzód należy, czy z natury swojéj jest gustownym, a potém, czy do nas zastósować go możem. Ten właśnie wybór i dobór, czyli zastósowanie, byłyby tą sztuką, o któréj mówię. Przedewszystkiém zważaćby należało na indywidualność, a naprzód na fizyczność. Dajmy na to, że jaki Łokietek salonowy przybierze się w ten długi surdut po kostki, który teraz noszą, lub że przystroi się w kozackie pantalony, jeśli kiedy będą modnemi; do czegóż taki kloc grubawy podobnym będzie? nie powinienże on krótkością sukni wzrost swój podwyższać dla oka? razilaż nas kiedy niskość dolmanowego huzara? Weźmy wreście i damę jaką poważnéj i rozległéj korpulencyi, i przybierzmy ją w te buchato fałdowane szaty, które niedawno jeszcze były w modzie, nieprzybędzież jéj drugie tyle objętości, niebędzież się zdawało, że przynajmniéj cały powiat urodzić musiała? Przybierzmy w nią przeciwnie młodą i wysmukłą postać, a i kibić jéj zyska na gibkości, i cała zdawać się będzie obwianą lekkim mgły obłokiem. Ten sam wzgląd należałoby pono mieć i na wiek, w którym jesteśmy. Nie mówię, aby dla uprzyjemnienia swojéj postaci, nie odmładzać się nieco ubiorem; ale cóżbyśmy myśleli o tym starcu, któryby włosy swoje pierścieniami na teraźniejszy sposób paryzki, lub gdyby jaka podstarzała i bez zębów Flora, w różowe szaty, à jour pończoszki, lub majowych kwiatów przybierała się równianki.

I klimat także zasługuje na uwagę i pory roku, w których żyjemy. Trudno jest w tak mnogie wdawać się szczegóły, jakie się nasuwają przy kryśleniu ubioru. Weźmy więc pierwszy lepszy, jak n. p. kapelusze różowe, w których niektóre damy na zimowych dają się widzieć przechadzkach. Są one w harmonii z temi futrzanemi salopami, jakiemi się okrywają. Zamiast tak krzycząco odbijać od martwéj białości śniegów, nie powinnyż one mieć jakiego pośredniczego koloru między wiosną twarzy, a zimą natury? A cóż dopiero, gdy taki różowy i w róże przybrany kapeluszyk znajdzie się między zimą przyrodzenia i twarzy! Zdarza się i to niekiedy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Medal Zygmunta III.

Numizmatyka polska nie posiada większego, ani może piękniejszego medalu, od tego, który Zygmunt III., z powodu zdobycia Smoleńska, w roku 1611. wybić, albo raczéj odlać kazał. Współcześni dziejopisowie, zostawili nam szczegóły pamiętnego tego oblężenia, które tu w skróceniu przyłączamy.

Stanął król z wojskiem pod Smoleńskiem, dnia 29. Września roku 1609., i niebawnie oblężenie jego rozpoczął; lecz gdy miotany ogień z armat polowych polskich, mało co czynił skutku, postanowił król Zygmunt z Rygi, Tykocina i Wilna ciężkie sprowadzić działa, które w kilka miesięcy póżniéj nadeszły: tym czasem Polacy wszelkimi sposobami usiłowali dostać się do oblężonego miasta; zakładali miny, nocne przypuszczali szturmy, petardami bramy miasta kruszyli; załoga przecież moskiewska wszystkie ich niweczyła zamachy. Radził wtenczas Zółkiewski hetman, aby Zygmunt, ścisnąwszy Smoleńsk wojskiem zaporowskiém, sam z wyborem rycerstwa polskiego, co prędzéj pod miasto Moskwę pospieszał. Nie podobała się ta rada królowi, lubo póżniéj nie raz się żalił, że za nią nie poszedł.

Pomimo nadeszłych z Rygi i Wilna ciężkich dział w roku 1611., gdy Polacy niemniéj zaciętego doznawali od oblężonych oporu, król Zygmunt postanowił szturm powszechny do miasta przypuścić.

Posłuchajmy teraz historyka rossyjskiego, który tę wojnę opisuje: „Zbieg smoleński, nazwiskiem Andrzej Dewiczyn,“ mówi dziejopis Błudów, „wskazał oblężeńcom słaby w twierdzy mur, który w zeszłéj jesieni na prędce i nietrwale wzniesiono. Mur ten ustawicznem strzelaniem zburzonym został, a Polacy tym wyłomem dostali się do miasta, o północy z dnia 2. na 3. Czerwca, starego stylu. Inne ich pułki weszły także innemi miéjscami, z których się od-



Medal na pamiątkę zdobycia Smoleńska.

daliły były słabe oddziały oblężonych; długo się jeszcze wśród miasta potykano na zwaliskach, na murach i po ulicach. Polacy wszędzie przewagę biorąc, dostali się do katedralnego kościoła N. Panny, w którym się liczni mieszkańcy i kupcy z rodzinami swémi, dostatkami i znacznym zapasem prochu byli zamknęli. Moskale zapalili prochy i wysadzili się na powietrze z żonami i dziećmi, majątkami i sławą. Od strasznego łoskotu struchlał sam nieprzyjaciel, i na chwilę zapomniał odniesionego zwycięstwa; lecz w krótce z niemałą trwogą ujrzał całe miasto w płomieniach. Jeden jeszcze wojownik stał na wysokiéj baszcie, z mieczem krwią zbroczonym w ręku i opierał się Polakom; był to waleczny Sehin, który śmierci pragnął. Lecz żona jego, córka i syn małoletni łzami się przed nim zalewali, a wzruszony ich płaczem wojownik, oświadczył, że się polskiemu dowódzcy podda; jakoż złożył broń w ręce Jakóba Potockiego, który pod głównym zarządem króla, oblegającemu hetmanił wojsku.“

Podług naszych dziejopisów, tenże Jakób Potocki pierwszy w tym szturmie stanął na murach twierdzy. Czyn ten bohaterski, tudzież wzięcie w niewolą Sehina, podwójnym wieńcem zdobią czoło wojownika polskiego.

Zdobycie Smoleńska tak się zaszczytném być zdało królowi polskiemu, iż pamiątkę jego uwiecznić postanowił kilką medalami, z których najcelniéjszy tu umieszczamy.

Medal ten w złocie, znajdujący się w gabinecie numizmatycznym w Wiedniu, waży 300 dukat.

Edw. R...

Wieczornica.

(Koniec.)

Jeszcze milczeli wszyscy i dumali nad okropnym sołtysa wynalazkiem, kiedy pies zaszczekał, zapowiadając przyjście obcego człowieka. Wszedł Łepski, kowal luboński, człowiek już w latach podeszły, bywalec, który zawsze coś

mądrego powiedział, czego jeszcze nigdy drudzy nie słyszeli. „Podsłuchałem u drzwi,“ odezwał się kowal, „żeście o powietrzu bajali; a wiecież wy też, moi mili ludkowie, jak też to powietrze wygląda, żebyście je (czego Boże uchowaj) poznać mogli?“ „Nie wiemy,“ odpowiedzieli wszyscy; „powiedzcie nam, bo wy o wszystkiém tak rozprawiacie, jak gdybyście tam byli.“ „No! dobrze,“ rzekł kowal; „jeno sobie trochę odpocznę; bo z méj kuźni kawał do was komoszko.“ Usiadł kowal na ławce, i tak mówić zaczął: „Nieboszczyk mój starek (dziaduś) mieszkał za Odalanowem nad Baryczą, na pustkowiu Papiernia. Najstarszego syna swojego, który od najpierwszéj młodości wielką miał do nauk ochotę, oddał do szkół jezuickich do Kalisza: był to chłopiec dobry, i pilny i tak pobożny, że każdy dzień klęczał przez całą mszą ś. w kościele. Pan Bóg mu też pobłogosławił, i już ukończył szóstą klassę i miał być xiędzem. Lecz wtém zachorował i dostał okropnéj ospy, która go oczu pozbawiła. Ciemny jak pień, niemogąc już myśleć o wykonaniu swego zamiaru zostania xiędzem, powrócił do domu, na Papiernią: tam, na górze, pod strzechą, kazał sobie zrobić ołtarzyk, i modlił się do Boga za grzechy. Ten więc pobożny i święty człowiek, przepowiadał różne klęski, dotykające nasz biedny kraj: przepowiedział także i powietrze. Klęcząc przed swym ołtarzykiem, często się odzywał do domowników: „idźcie tylko i patrzcie, czy nie widać powietrza?“ A poczemże je poznamy? pytali się zwykle strwożeni wieśniacy. „Oto,“ odpowiadał wieszczym duchem niewidomy student, „jak zobaczycie niebo czerwone, zakrwawione, a w powietrzu unoszącą się płachtę czarną, z czerwonemi pręgami, wiedzcie, że to jest powietrze: kogokolwiek ta chmura w przechodzie cieniem swym dotknie, ten pewno umrze.“ — Skończył kowal, a stara Agnieszka przytoczyła, że patronką od morowéj zarazy jest ś. Rozalia, i zawoławszy siostrzenicę swoję, rzekła; Rozalko moja, zaśpiewajno pieśń tę do twojéj patronki, com ja cię nauczyła za młodu; nieśmiała, lecz posłuszna dziewczyna zanuciła pobożną pieśń do ś. Rozalii, patronki od morowego powietrza, jako następuje:

Przezacna xiężna dziewica,
Rozalia pustelnica,
Ze krwi Karóla Wielkiego,
Cesarza chrześciańskiego.

Pogardziłaś dostatkami,
Dworem, państwem, pieszczotami.
Na pustyniąś się udała,
Mieszkaniem twém była skała.

Tam jéj w Chrystusie zabawa,
Krynice, ziółka, potrawa,
Towarzy two z aniołami,
Niebieskimi dworzanami.

Tamże w Chrystusie zasnęła
Tam jéj pogrzeb, tam mogiła.
Znać rękami anielskiemi,
Gdyż nie mogła być ludzkiemi.

Zatajona przez czas długi,
Trafunkiem boskiego sługi,
Gdy się nabożnie przechodził,
Wnet na to miéjsce nagodził.

Oznajmiéj się panno święta,
Któréj dusza w niebo wzięta;
«Tu moje ciało złożone,
«Rozalii, tak rzeczone.»

Przeniesione święte ciało,
Uczciwie, jak należało,
Do kościoła stołecznego,
Panormu, miasta zacnego.

Tam odnieśli swe pociechy,
Gdy Pan Bóg karał za grzechy,
Plagą srogą śmiertelności,
Według swéj sprawiedliwości.

Jest w Krakowie cząstka znaczna
Kości téj świętéj przezacna,
W kościele świętej Barbary;
O jak to są wielkie dary!

Piętnaście lat już minęło,
Gdy się już było zaczęło,
Złe powietrze; prędko zgasło,
Gdy tam ludzi z prośbą naszło:

Rozalio pustelnico,
Chrystusa oblubienico!
Do ciebie się uciekamy,
Ratunku twego żądamy.

Oto powietrze morduje,
Nie jeden w zdrowiu szwankuje;
Pożera śmierć nieużyta,
I słowa się nie dopyta.

Miasteczka, wsie, zakopują,
Drzewem i strażą wartują.
Nie przystępuj, wara tobie,
Niebezpieczno o téj dobie.

Palą chałupy, strzelają,
Zarażonych wyłączają,
W polu, w budach ich zabawa,
Niewczas, zimno, szczupła strawa.

Jeden się drugiego chroni,
Daleko od niego stroni,
Nawet i kochana żona
W takim razie oddalona.

Chodząc po zapłociu krzyczą,
A prawie co gardła ryczą,
«Wynieś, podaj sztukę chleba,
«Będziesz miał zapłatę z nieba.»

Strachem wielkim zatrwożeni,
Głodem i nędzą ściśnieni,
Jako bydło umierają,
W polach, lasach się tułają.

Znać i pogrzebu nie mają,
Ciała zwierze pożerają,
Alboli też osękami
Ciągną w dół, także żerdziami.

Jakie serce przyjacieli,
Pobożnych obywateli,
Patrząc na takie chowanie,
Ciała, członków rozrywanie.

A choć ciało na to przyjdzie,
O duszę strach wielki idzie,
Bo bez świętych sakramentów
Schodzi wiele tych momentów.

Spowiedzi, napominania,
Ktoby czynił narzekania,
Na taką drogę daleką,
Nie masz, ktoby żegnał ręką.

Ani świecy, ni passyi,
Ani żadnéj relikwii
Chryste Jezu, racz być z niemi,
By nie byli potępieni.

Przyczyna Panny Maryi,
Także świętéj Rozalii,
Niech nas od powietrza broni,
Od gniewu twego zasłoni.

Amen z płaczem rzeczem wszyscy,
Pomarli sąsiedzi bliscy,
Aby się w niebo dostali,
Z Bogiem wiecznie królowali. Amen.

Różalka śpiew swój skończyła: pieśń jéj wszystkich zajęła, i w pobożnéj myśli rozeszli się z wieczornicy, obiecując staréj Agnieszce, że w inną niedzielę znów się u niéj zejdą.

Obrzędy i pieśni ludu w czasie wesela.

(W Galicyi, w obwodzie jasielskim.)

Dawny to obyczaj, że się ludzie zwykle pod jesień żenią i weselą. Wypływa to z istoty życia rólniczego ludu. Jesień jest niejako spoczynkiem rólnika, całorocznéj pracy nagrodą. Kiedy więc pola zasiane, brogi pełne, gumna zamknięte, śpichrze i komory ładowne, kiedy bydło na zimowéj stanęło okole, a w chacie, przy wieczorném ognisku miło i potulnie, w ówczas zaczynają się snuć „z a l o t n i k a m i d z i e w o s ł ę b y“ po pod strzechy, kędy sobie obmyślili dziewkę. Na dziewosłębów, upraszają sobie zalotnicy, ludzi trzeźwych, uczciwych, wiekiem nieco podeszłych, a wymownych. Za zwyczaj żenią się parobcy, aby mieć pomoc w domu, wyręczenie za domem; ale nierzadko miewa i serce swój udział w téj sprawie; często w tych serdecznych stósunkach silne i niezwykłe budzą się namiętności, które wychodząc z zwyczajnych kolei sielskich, tragiczny biorą koniec.

Od z a l o t ó w i z m o w i n bierze swój początek ono zbliżenie się dwojga ludzi wzajemne. Kiedy dziewosłąb z zalotnikiem w dom przybywa, przynoszą z sobą gorzałkę, i przypijają naprzód do rodziców, potém do dziewczyny. Jeżeli dziewczyna kubek przyjmie, jest to znakiem, że się zalotnik podobał, a na ich związek zezwalają ojcowie. Jeżeli zaloty pomyślny skutek wzięły, idą nazajutrz narzeczeni z rodzicami, i z pokłonem do księdza plebana na pacierze. Ksiądz przedstawia obowiązki przyszłego stanu. Gdy się sprawią z nauki i słowa Bożego, wychodzą opowiedzie w następną niedzielę. Po dwóch opowiedziach z ambony, poczyna młody z drużbą spraszać gości na wesele. Przyjeżdżają naprzód do narzeczonéj, którą już odtąd m ł o d u c h ą zowią. Młoducha przybiera pana młodego, daje mu białą chustkę, którą przez ramię przewiesza, i przypina mu do magierki wstążkę i snopeczek ruty. Podobnie przystraja drużbę, poczem oba kolejno krewnych, sąsiadów, przyjaciół, dwór i plebana na wesele proszą. Drużba miewa oracyą do każdego, i musi do każdego przypijać z o s o b n a; ztąd przysłowie:

Oj drużba, drużba,
Ciężka twoja służba!

Tym sposobem, odprawują także mieszczanie wesela swoje, z tą różnicą, że się mieszczki w jubkach i czółkach, a mieszczanie w żupanach i kontuszach noszą, do którego stroju t r z c i n a przystoi.

Kiedy więc do młoduchy drużba z młodym przychodzi, przystraja ona także i ich laski, wiążąc do gałki rutę i wstążkę. Przez cały zaś przeciąg wesela, mają mieszczanie obok rzniętéj muzyki, i dętą k a p e l ę. Zaprosiny na wesele, odbywają się po mieście pieszo.

Oracya drużby.

Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Przychodziemy tutaj z prośbą, a niesiem ukłony;
Jak Bóg rozesłał na ucztę po świecie narody,
Tak téż wysłali nas, prosić na weselne gody.
A proszą przez nas rodzice młodego i młodéj.
A naprzód prosi pan ojciec, potém pani matka,
A potém ten tu pan młody i młoducha gładka.
A potém krewni obojga, tę wszystką rodzinę,
Na poniedziałek, na szóstą godzinę,
Do aktu weselnego,
Do kościoła Bożego! (kłania się).
Gdzie się chrzcą ludzie, przy chrzcie mianują
I Sakramenta wszelkie przyjmują, (kłania powtóre)
A zaś z kościoła Bożego
Proszą do domu swojego. (kłania po trzecie)
A proszą przez nas uczciwie
Wszystko co żywie! (kłania po czwarte)
Na wódki baryłkę, na jednę i drugą!
I na stós kołaczy, i jeden i drugi!
I piwa beczułkę i jednę i drugą
I sera gomułkę, i jednę i drugą!
I na te cietrzewie, co siedzą na drzewie,
I na te łabędzie, co siedzą na grzędzie,
Na te kuropatwy, co polów ich łatwy,
I na te to dziki, co ryją trawniki,
I na tego tura, coto z niego rura,
I na te główeczki, co tulą listeczki,
I na te to świece, co dają Gorlice. *)
Na barana białego,
Na koguta czubatego,
Na skrzypka wesołego
Na beczkę wina starego,
Na pieczywo chleba z nieba
I na miskę kaszy naszéj (kłania po piąte)
Toć na parę tych zajęcy,
Przytem może na co więcéj,
Co Bóg zdarzy,
Kucharz zwarzy,
Prosim szczerze i uczciwie,
Wszystko co żywie!
A będziemy jedli, pili
I pospołu się cieszyli,
I weseli do niedzieli,
Jak w niebie anieli!
Amen. (kłania po szóste.)

Kiedy już cała sproszona drużyna, drużba z muzyką idzie do domu młodego, ztamtąd do młoduchy, przegrywając wszystkim pod drzwiami. Poważnym starożytnym tańcem poczyna się każde przegrywanie, a kończy się wesoło i skoczno.

*) *Nazwa sąsiedniego miasta.*

Po wyjściu trzech opowiedzi, przychodzi całe wesele do dworu, i młoducha oddaje kołacz dworowi, podobnie jak korowaj na Rusi. Od Poniedziałku zaczyna się wesele, a trwa trzy dni; u ludzi zasobnych i tydzień cały.

Dnia tego, kiedy ślub być ma, odbywają się w domu rodziców młoduchy „rękowiny czyli zrękowiny". Jest to obrząd z pogaństwa idący, który śluby w kościele czynione poprzedza. Tamto przyrzekają sobie młodzi nawzajem, jako się już nie odstąpią do śmierci; podobnież poręczają się za nich ludzie stateczni, jako młodzi dotrzymają przyrzeczenia tego, a że oni sami przestrzegać będą w przyszłości spraw wszystkich stadła tego, i nakłaniać go do uczciwego pożycia z sobą, do bojaźni boskiéj a miłości ludzkiéj. Pan młody przynosi z sobą na ten obrząd pierścionki, a młoducha daje dwie białe chustki. Pierścionki zakładają się w ówczas młodym na palce, a ręce ich wiążą chustkami, i zwą to „rękowaniem". Chwilę jedną mają młodzi powiązane ręce, na znak utraty wzajemnéj wolności, co krewni i rodzice widzą, żalą się i płaczą nad niemi. Starościna zawiązuje ich ręce, a chustki te chowają się całe życie, i kładą się do trumny dopiero obojgu pod głowę. Po tym obrzędzie następują „błogosławieństwa i przeprosiny," t. j. po odebraném błogosławieństwie rodziców i krewnych, przepraszają młodzi przytomnych za wszystko, czem się tylko kiedykolwiek im narazić mogli, a swacia poczyna pieśń przeprosin i pożegnania domowych progów:

Przepraszam was moje ściany,
Ciebie piecu polewany:
Któż was bielić będzie,
Kiedy mię nie będzie?
Przepraszam was drzwi cisowe,
I was stoły jaworowe:
Któż was myjać będzie,
Kiedy mię nie będzie?
Przepraszam was miski, łyżki,
Wszystkie moje towarzyszki:
Któż was sprzątać będzie,
Kiedy mię nie będzie?
Przepraszam was wszystkie progi,
Co chodziły moje nogi,
Któż tu chodzić będzie,
Kiedy mię nie będzie?
Dziękuję wam pani matko,
Żeście mnie schowali gładko,
I wam, panie ojcze,
Żeście mię wydali.
Dziękuję ci ogródeczku,
Com chodziła w twym wianeczku:
Któż cię pleć tu będzie,
Kiedy mię nie będzie?
Dziękuję ci rozmarynie,
I goździku mój na grzędzie.
Któż cię sadzić będzie,
Kiedy mię nie będzie?
Dziękuję ci drobna rutko,
Już ci mię tu niedługutko:
Któż cię nosić będzie,
Kiedy mię nie będzie?

Kiedy już całe wesele do kościoła ma wyruszać, wówczas zachodzą wozy i konie, i rzecz się takim ładem odbywa: Na koniu z białą chorągwią jedzie przodem starszy drużba, którego na ten raz stanowniczym zowią. Za nim i po bok wozów jadą swatowie poddrużbowie, chłopaki z konia furmanią zasłane drabiniaste wozy, które po jednéj i drugiéj stronie drabin, weselna zajmuje drużyna. Na pierwszym jedzie muzyka, na ostatnim młoducha młody, z niemi starostowie. Po złotém czółku poznać starościnę, po wieńcu z ruty młoduchę, po rózdze starostę; trzyma on ją poważnie dla dla pogrozy na dzieci. Każdy drużba, swat i przydanek, ma przez ramię białą lub kolorową chustkę przewieszoną, u czapki rutę i wstążkę, u boku rutę i barwinek. Szumno i dworno, śpiewający, trzaskający, staje swacia przed kościołem. Po ślubie zaprasza starościna wszystkich na śniadanie do gospody. Zanim tam staną, potrzeba się wprzody woźnicom opłacić, zajechawszy w jarugę lub przekopę, zdejmują bicz z biczyska i poczynają wiókać, jakoby zagrzęźli.

(*Koniec nastąpi.*)

Młynareczka.

Młynareczko, czarnooka!
Twoje serce jak opoka;
Jeśli mnie masz wiecznie smucić,
To się wolę w staw twój rzucić.
I jeszcze cię szkód nabawię,
Posną rybki w twoim stawie;
Taką w piersiach gorycz czuję,
Że cały ten staw zatruję.
Czyli pójdziesz czerpać wodę,
Czyli przejrzeć twą urodę,
Czy poprawić włos wypadnie,
To topielca ujrzysz na dnie.
Jeśli w lecie dla ochłody,
Będziesz chciała wejść do wody;
To ci znowu na myśl padnie,
Że topielec czeka na dnie.
W pośród nocnéj burzy, grzmotu,
W pośród młyńskich kół łoskotu,
Gdy zawyją stawu fale,
Słyszeć będziesz moje żale.
Młynareczko, czarnooka!
Twoje serce jak opoka;
Jeźli mnie masz wiecznie smucić,
Idę, idę, w staw się rzucić.

J. N. J.

Spis rzeczy Przewodnika Rólniczo-Przemysłowego w Nrze 20.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)